

Tekściarz Wałęsy

Maciej Rosalak

Córka wysłuchała przemówienia w telewizorze i oznajmiła:
– Nasz prezydent mówi do naszego papieża moim tatą!

Nigdy nie miałem ambicji zostania urzędnikiem państwowym. W PRL na samą myśl o tym robiło mi się smutno. A jednak, gdy powołany w pierwszych wyborach powszechnych prezydent Rzeczypospolitej Polskiej objął stanowisko na przełomie lat 1990/1991, ja zaś dostałem propozycję pisania dla niego przemówień – nie zastanawiałem się długo. Może wyda to się dziś infantylne i „obiachowe”, ale wtedy pomyślałem, że mam szansę służby dla nareszcie suwerennego państwa polskiego i jeśli ktoś uznał, że właśnie moje umiejętności się przydadzą, to nawet nie mam prawa odmawiać. I tak 15 stycznia 1991 roku przekroczyłem próg Kancelarii Prezydenta RP przy ulicy Wiejskiej 10.

To był dziwny okres, ów początek lat dziewięćdziesiątych. Liczne redakcje padały, jeszcze liczniejsze powstawały, załamywały się kariery dyspozycyjnych redaktorów, mierne, ale wierne ciotki i cioty rewolucji nie miały całkiem nic do roboty, prawdziwych fachowców z opozycji było niewiele, a młodzież nie jeszcze nie umiała. „Tygodnik Demokratyczny”, który w 1988 roku rozbłysnął jak supernowa, dwa lata później przypominał maleńką gwiazdkę neutronową, która wirowała jeszcze trochę i zgasła.

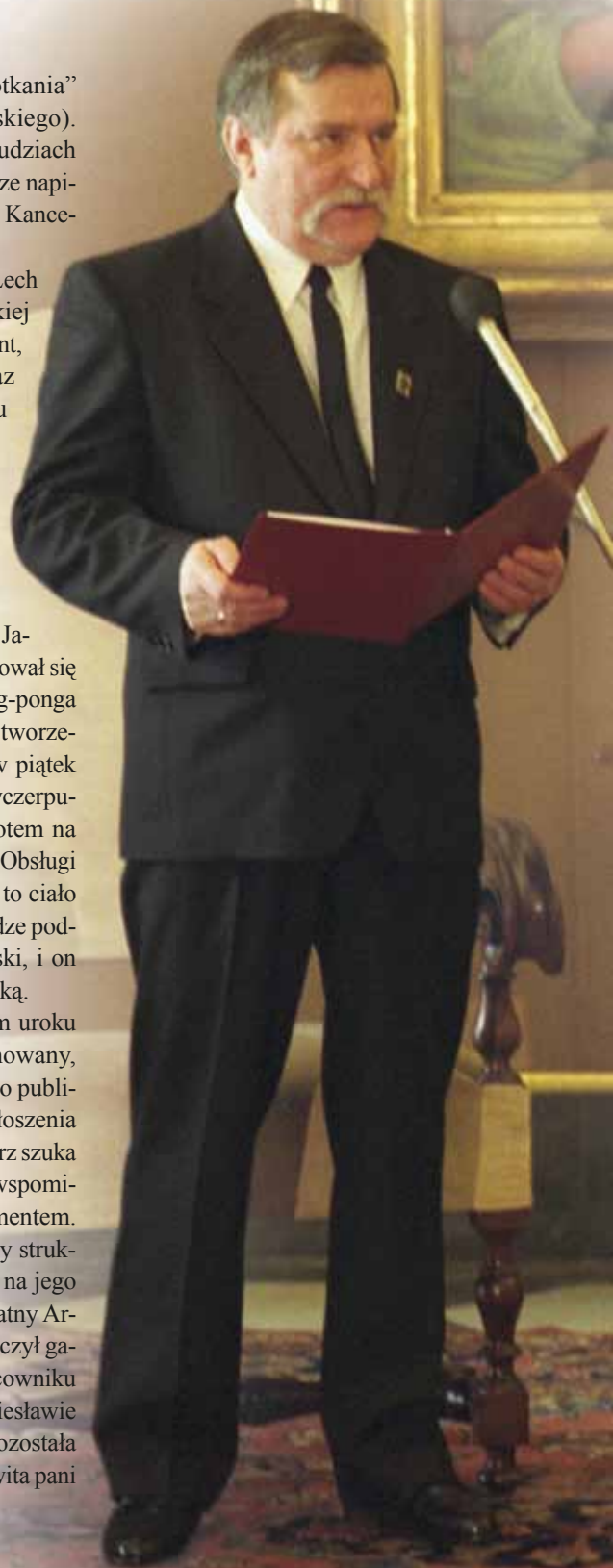
Ale w tamtym ciekawym roku 1990 otwierało się tyle możliwości, o ilu dziś nie ma co marzyć. Jako zastępca (do spraw redakcyjnych) prof. Michała Kuleszy uruchamiałem na gruzach „Rady Narodowej” tygodnik samorządu terytorialnego „Wspólnota”, miałem stały felieton (w cyklu „Kawałek antyrządowy”) w „Rzeczpospolitej” Dariusza Fikusa, trafiłem do zespołu Macieja Howieckiego, który przygotowywał pierwszy ty-

godnik konserwatywny „Spotkania” (wydawnictwo Piotra Jeglińskiego). O każdej z tych prac i tych ludziach mógłbym napisać (i może jeszcze napisze) słów kilka, ale wróćmy do Kancelarii Prezydenta RP.

Nie zaprosił mnie tam sam Lech Wałęsa ani nikt z jego gdańskiej świty. Co więcej – ani prezydent, ani panowie Drzycimski oraz Wachowski przez całe pół roku mojego tam zatrudnienia nigdy nie zainteresowali się ani tym, kto, ani co dla głowy państwa pisze. Oni żyli i działali w Belwederze, a to był świat całkiem odrębny od Kancelarii przy Wiejskiej, którą kierował Jarosław Kaczyński. Gdańsk zajmował się w Belwederze – poza grą w ping-ponga – szukaniem „lewej nogi” lub tworzeniem koncepcji NATO bis, a w piątek koło obiadu ulatywał po tak wyczerpującej pracy specjalnym samolotem na Wybrzeże. Kancelaryjny Zespół Obsługi Politycznej Prezydenta (tak się to ciało nazywało) prowadził zaś w randze podsekretarza stanu Jacek Maziarski, i on właśnie ściągnął mnie na Wiejską.

Był to człowiek o ogromnym uroku osobistym, nienagannie wychowany, o zasłużonej renomie czołowego publicysty, znany powszechnie z ogłoszenia w stanie wojennym: „Dziennikarz szuka uczciwej pracy”. Do tej pory wspominał go z największym sentymentem. Odszedł po kwartale do budowy struktur Porozumienia Centrum, ale na jego miejsce przyszedł równie delikatny Arkadiusz Rybicki. Jacek odziedziczył gabinet z salonikiem po współpracowniku generała Jaruzelskiego – płk. Wiesławie Górnickim. Z tamtego czasu pozostała też sekretarka, skromna i pracowita pani

► Prezydent RP Lech Wałęsa na audiencji u papieża Jana Pawła II, Watykan, 5 lutego 1991 roku



Kryśka, którą szybko polubił cały zespół. Nowy szef wprost zaszokował ją całowaniem w rękę, zleceniami przekazywanymi w formie prośby, no i... abstenencją. Jak się później dowiedzieliśmy, towarzysz pułkownik zwykł zalewać się w trupa, spać na kanapie w saloniku i wydzierać się na podwładnych z użyciem wyzwisk i przekleństw.

Mnie przyznano stanowisko eksperta, pensję znacznie mniejszą niż w „Spotkaniach” (podobno najwyższą przypisaną do tego stanowiska) oraz ogromny pokój wyposażony tylko w biurko, dwa krzesła i maszynę do pisania. W zespole pracował jeszcze kolega z dawnego rozdania, którego słabo pamiętam, poza tym, że sprowadził sobie szafę pancerną. Niedługo dołączyła natomiast Teresa Bochwic, z którą szybko znaleźliśmy wspólny język. Pięć lat temu na wystawie w Bibliotece UW ujrzałem cytat z jej wspomnień o Marcu '68 obok swojego. W sąsiednim pokoju (ale już w innym wydziale) siedział Ludwik Dorn, który przygotowywał analizy sytuacji w kraju. Wynagrodzenia mieliśmy niewielkie, ale za to stołówka wydawała świetne obiady za pół ceny, bo Kancelaria miała własne gospodarstwo rolne. Od maszynistek i instruktorów po ekspertów jadano na sali ogólnej, samoobsługowej, a od podsekretarza stanu w górę – w restauracji z kelnerami. Co ciekawe, wybór dań był tam znacznie mniejszy. Może dlatego doradca Wałęsy do spraw kultury – piosenkarz Piotr Szczepanik – jadał z nami. Poza tym bar i restauracja sejmowa stały otworem, PKP przyznawały pięćdziesięcioprocentową zniżkę na przejazdy, legitymacja uprawniała do uzyskiwania pomocy od innych urzędów państwowych, a podoficer żandarmerii wojskowej przy wejściu „walił w dach”. Człek czuł, że jest kimś, co prawda to prawda.

Szkoda, że pisaliśmy teksty przemówień bez rozmów z tym, który te teksty wygłaszał. Myślę też, że Wałęsa czytać po prostu nie lubił, nie tylko dlatego że trudno mu to szło. Był urodzonym trybunem ludowym i wojownikiem. Mimo błędów językowych, sformułowań tak

pokretnych, że niekiedy niezrozumiałych, potrafił dotrzeć do tłumu lub zamknąć usta adwersarzowi intelektualistom. Wypalił na przykład ni stąd ni zowąd „stłucz pan termometr, a nie będziesz pan miał gorączki” i skończył dyskusję. Oczywiście, wypuścić takiego naturalistycznie bez kartki na bankiet z królową brytyjską w Windsorze byłoby nader ryzykowne, ale już na zjeździe NSZZ „Solidarność” przemawiał sam z siebie o niebo lepiej, niż gdyby czytał nie swój tekst.

Poza przygotowywaniem przemówień od czasu do czasu wykonywaliśmy dla niego inne zadania, na przykład robiliśmy krótki przegląd listów (najwyżej jedna kartka!) pisanych przez obywateli. Domagałem się od wydziału listów rzetelnego materiału, wraz z korespondencją najbardziej krytyczną, wyraźnie inspirowaną ówczesnymi paszkwilami postkomunistycznej „Trybuny”, „Nie” Jerzego Urbana i „Gazety Wyborczej” Adama Michnika. Kto nie wie-
rzy, co wtedy o gło-

wie państwa wypisywano, niech weźmie do ręki roczniki gazet z tego okresu i poczyta. Pani kierowniczką, która została po Jaruzelskim, dawała mi te listy z przerażeniem: – A nie będzie kłopotów? – pytała. Muszę przyznać, że nikt z Belwederu żadnych pretensji nigdy nie wysunął. Może i nikt nie czytał...

Wielu pracowników pozostało z poprzedniej ekipy. Nas, z nowego rzutu, chyba się z początku obawiali, odnosząc się z jakąś taką nadzwyczajną krepującą uniżonością. Może to się z czasem zmieniło, nie wiem, z końcem czerwca odszedłem, mając dość normowanego ▶

